

Razem

1 maja 2018

Jak pech, to pech. Stare, rozłazące się krzesło na które wszedł, by poszukać tego małego młotka w czeluściach chybotliwej nadstawki, rozsypało się z hukiem, a Władek w jednej chwili rymnął na jakże twardą podłogę. W tej samej sekundzie cała nadstawka, wraz z zawartością, postanowiła usamodzielnąć się – odpadła od segmentu i wylądowała na jego prawej nodze. Kości trzasnęły, a rozerwana paździerzowym ciężarem piszczel wyszła na zewnątrz, rozdzierając spodnie. Zawył z bólu nie panując nad odruchami i zwinąwszy się obronnie w kłębek, stracił przytomność.



Justyna obserwowała to z przerażeniem, nie mogła jednak nic zrobić, krzyknąć, nic powiedzieć. Patrzyła teraz jak Władek przytomnieje po chwili, jak jego zarośniętą, pocziwą, prawie bezzębną gębę, wykrzywia straszliwy ból, jak szuka jej spojrzenia. Łzy puściły się jej ciurkiem, bo przecież tylko tak mogła okazać swoje przerażenie. Choć niespodziewanie, jeszcze gdzieś w środku, poniżej gardła, poczuła jakiś bulgot, jakieś żałosne, rozpaczliwe rżenie. Była przecież od pięciu lat całkiem sparaliżowana, zdana na jego opiekę i na ten postrzępiony ze starości barłóg, w którym leżała nieruchomo.

Władek dbał o nią jak mógł, ale przecież jako mężczyzna miał zupełnie inne pojęcie o pościeli, o praniu, o sprzątaniu niż kobiety, niż ona. Prawdę mówiąc to nie miał żadnego, ale starał się jak mógł. Do tego stopnia, że nie nękały ją odleżyny, zawsze była umyta, w miarę możliwości nakarmiona, czuła się w barłogu zupełnie nieźle.

Zawsze był mężem starej daty. Nie pozwalał jej pracować – jedynym według niego życiowym celem prawdziwej żony było prowadzić dom, wychować dwóch synów na porządnych, uczciwych ludzi, dbać o rodzinę, o tradycje. Zgadzała się z nim całkowicie. Żyli więc sobie spokojnie w domku pod lasem, bez jednej chwili poważniejszej kłótni w ciągu tych całych czterdziestu lat. Władek, jako niewykształcony robotnik, hydraulik samouk – nigdy nie miał warunków, czasu ani pieniędzy na inwestowanie w siebie, na formalną edukację – zarabiał niewiele, ale wystarczało jakoś zawsze na skromne utrzymanie. Dorabiał czasem u okolicznych mieszkańców, zwłaszcza w niedziele.

Teraz, na żałosnej emeryturze, która jest ich jedynym dochodem, żyją sami w tej rozsypującej się ruderze. Synowie od kilku lat nie odzywają się zza oceanu i nie wiedzą pewnie nawet o chorobie matki. Ale ona, a zwłaszcza Władek, nie narzekają przecież. Zawsze był dumny, samodzielny, pracowity i zdrowy, silny jak koń. Nie użalał się nigdy nikomu, bo i po co? Patrzył tylko czasem spode łba na opryskliwego, młodego listonosza, dojeżdżającego do nich raz w miesiącu z emeryturą, na tym swoim pyrkoczącym, przeraźliwie głośnym motorowerze. Nigdy zresztą na czas – po prostu jak mu się chciało.

Kwitował Władek bez słowa odbiór, po czym zniknął na kilka godzin by nakupić we wsiowym sklepie zapasów; mąki, sera, herbaty, chleba, margaryny. Ładował te wszystkie luksusy do szarej ze starości, poobtłukiwanej lodówki, i tak mieli spokój z zakupami na jakiś czas. Gotował fatalnie, ale gotował. I oto leży teraz na brudnej podłodze z wystającą, krwawiącą pieszczelą, i zaciskając zęby z bólu, wykręcając głowę, próbuje

znaleźć ją spojrzeniem.

– Justynka, nie płacz – ledwie wyszeptał przez zęby. – Zaraz się pozbieram.

Usiadł jakoś podpierając się jedną ręką o podłogę, a drugą sięgnął po starą koszulę, szczęśliwie leżącą na krześle obok. Owinał nią miejsce złamania, ścisnął mocno i związał rękawy. Niezbyt fachowy, lecz solidny opatrunek. Spróbował wstać, jednak natychmiast upadł ponownie. Ból był nie do wytrzymania. Przekręcił się powoli na brzuch i stopniowo, wydostając z pogruchotanych szczątków mebli, podczołgał do płaczącej ciągle żony. Podciągnął się troszkę rękoma na krawędź łóżka i spoznał na nią uważnie.

– No i co? Bywa – stwierdził filozoficznie, sepleniąc jak zwykle i świszcząc brakującymi zębami. Dotknął delikatnie jej warg, czoła, i sprawdził stojącą na stoliku szklankę. Była pusta. – Chce ci się pić? Masz chyba gorączkę?

– Tak, nie – potwierdziła, a następnie zaprzeczyła, mrugając odpowiednio powiekami, w tylko dla nich obojga zrozumiały sposób.

– Dobra, dobra – usiadł ponownie na podłodze. – Nic mi nie będzie. Pozbieram się teraz, przejdę się... przeturlam jakoś do studni po wodę, wrócę, i pójdę po tę cholerną pomoc – starał się mówić normalnie, z sensem. – A ty leż sobie i czekaj.

Z powodu prawie kilometrowej odległości od wioski, żadna firma telefoniczna nie chciała im założyć telefonu. Musieliby stawiać słupy, ciągnąć przewody. Nie opłacało się. A skorzystać z istniejących, pokrzywionych słupów doprowadzających im elektryczność podobno nie mogli. Przepisy. Tak więc nie mieli z Justynką telefonu. Synowie, jak już dorośli, gdy mieszkali jeszcze w domu, pokupowali sobie komórki, ale im, starym, telefony nie były do niczego potrzebne. Do dzisiaj.

Przeczołgał się więc Władek jakoś do kuchni zostawiając za sobą krwawy ślad, nie bez problemów zdjął ze stolika puste wiadro na wodę i chwytając je lewą ręką za pałak, wypełził powoli na zewnątrz. Nie było ciepło, choć przecież dopiero sierpień. Na niebie ani jednej chmurki – miliony gwiazd iskrzyły intensywnie i obojętnie nad całym Bożym światem.

Starając się nie krzyczeć i nie stękać z bólu, dotarł jakoś do studni. Deszczu w tym roku było tyle, co kot napłakał, więc poziom wody najniższy od lat. Musiał sporo się nakręcić, by opuścić puste wiadro, a następnie, po zaczerpnięciu wody, podciągnąć je do góry. Dawno temu zamontował w studni małą pompkę elektryczną, która miała rozprowadzać wodę po również własnoręcznie wykonanej instalacji domowej, jednak nic z tego nie wyszło. Zakład energetyczny, który doprowadził do domu elektryczność, zgodził się tylko na zasilanie jednofazowe. Ponieważ nie było to gospodarstwo rolne, tylko nie wiadomo jakie. A pompka miała przecież silnik trójfazowy – jednofazowy byłby bez sensu. Studnia pozostała więc prymitywną, klasyczną studnią z łańcuchem. Na korbę.

Wytargał więc to wiadro z odrobiną wody i postawił jakoś na ziemi. Musiał chwilę odpocząć, gdyż zakręciło mu się w głowie. Pewnie z bólu i upływu krwi. Ale teraz był problem – jak donieść wiadro do domu nie wylewając wody? Pomyślał chwilę, po czym postanowił popychać je przed sobą. Trochę głową, trochę rękoma. Musi sobie poradzić, bo Justyna najwyraźniej ma gorączkę i potrzebuje wody. Wargi ma przecież suche na wiór, a czoło jak włączone żelazko.

Ech, do dupy to wszystko. Nie mieli jakoś w życiu szczęścia. Gdy się pobrali byli młodzi, pełni energii. Zbudowali niewielki dom pod lasem, ciągnęli jakoś razem ten wózek. Synowie za wielką wodą, nie odzywają się co prawda latami, ale tam też przecież ludzie nie mają lekko. A niech to! Żona pięć lat temu doznała wylewu, a powiatowe konowały z najbliższego, dosłownie rozsypującego się szpitala, zamiast ją natychmiast zdiagnozować i właściwie leczyć, uznali, że ma nieoperacyjny

guz. Pokazywali mu jakieś zdjęcia, analizy, ale przede wszystkim niedwuznacznie wyciągali łapy. A że nic im nie skapnęło, więc i postawili na niej krzyżyk. Miała żyć góra miesiąc, a tu proszę – jest przytomna, jasno, precyzyjnie rozumuje już piąty rok. Tyle, że całkiem sparaliżowana. Ech...

Dotarł jakoś z powrotem i wody nie wylał. W kuchni napełnił szklankę i przemieścił się z nią mozolnie do ciągle płaczącej żony. Szklankę postawił na stoliku, a sam podciągnął się wyżej tak, że zdołał jakoś usiąść na brzegu łóżka.

– No i jestem. Teraz dam ci się napić... trochę więcej niż zwykle. Bo muszę wyjść na... dłużej. I nie płacz już wreszcie.

– Tak – odpowiedziała powiekami Justynka, patrząc na Władka z czułością. Zapomniał o sobie, znosi ten potworny ból tylko po to, by mogła się napić.

Tymczasem Władek, gdy już wlał żonie resztę wody do ust, znalazł w szufladce stolika grzebień i podnosząc jej głowę, uczesał zgrubnie zmierzwiłone, siwe kudły. Wytarł też jej twarz wilgotną szmatką, po czym odsunął się lekko i spojrzał fachowym okiem.

– No – był zadowolony. – Może być.

Justynka mrugnęła potwierdzająco, po czym znów zapłakała.

– Nie martw się głupia – podniósł głos. – Już mnie mniej boli. Poleżysz tu jakieś dwie godzinki, a ja coś zorganizuję. Wychodzę teraz i nie będę z tobą dyskutował. Posłuchasz sobie radia.

I rzeczywiście. Tylko trochę demonstracyjnie, wstał na obie nogi, nie wykonując żadnego grymasu, nie sycząc nawet, nie klnąc. Wątpił by uwierzyła, ale cóż – rzeczywiście musiał szybko coś zrobić. Wyszedł więc kuśtykając i zamknąwszy drzwi od zewnątrz, kładąc się na ziemi w najwygodniejszej pozycji, poczołgał się niezgrabnie w stronę wsi, ciągnąc za sobą prawą,

coraz bardziej bezwładną, krwawiącą nogę. Gwiazdy nieodmiennie obojętne.

* * *

Ocknął się ponownie, tym razem jednak z powodu strasznego, nieskładnego walenia w perkusję i okropnego, fałszywego zawodzenia akordeonu oraz gitary. Elektrycznej, znaczy idiotycznie, niepotrzebnie głośnej. Dotarł bowiem do remizy, najdalej, prawie poza wsią, położonego zabudowania, gdzie jak co tydzień rozkręcała się piątkowa zabawa. Tabuny młodych, napitych i nieobliczalnych osiłek wrzeszczały ile sił, ile pary w płucach, dając wyraz swojej niesprecyzowanej, nie skanalizowanej jak dotąd energii i agresji. Równie młode i równie rozgarnięte dziewczęta darły się także, nie pozwalając zdominować się akustycznie płci przeciwnej. A ponieważ w zabawach tych uczestniczyli zazwyczaj autochtoni z kilku okolicznych wsi, cała nocna teraz połąć, aż po horyzont, doświadczała przenikliwego w swej mocy i spektrum wycia. Sensownie, czy raczej bezsensownie, całkiem jednak adekwatnie połączonego z bezładnym, instrumentalnym skowytem pijanej do cna orkiestry.

Władek, stary przecież już i w sumie ciężko ranny, obolały, wykrwawiony i skrajnie zmęczony człowiek, zatkał sobie odruchowo uszy, padając przy tym twarzą w pył polnej drogi. Nie mógł tej kakofonii wytrzymać, nie spodziewał się też po zapitym towarzystwie jakiejś pomocy. Resztkami sił, resztkami woli, postanowił ominąć jakoś tę lokalną świątynię kultury ludowej, kierując się bardziej na prawo. Trafił na niskie krzaki, a następnie na rów z resztkami wody i błota. Pokonał go jakoś, gdy nagle został oślepiony jaskrawym w tej ciemności światłem latarki i usłyszał ochrypły głos;

– Robert, chodź no tutaj. Mamy jakąś łajzę. Ale ma mordę...

– Faktycznie! – to inny, równie szkaradny baryton.

– E ty, co tu robisz?

Władek nie miał już siły na nic. Zdołał tylko niewyraźnie wyszeptać: – Pomocy!

– Chłopak! – rozdarł się pierwszy głos. – Złodziej!

Po dwóch sekundach na umęczonego Władka spadły setki kopów, ciosów zadawanych jakimiś pałami, kijami, a także ostrymi, metalowymi narzędziami. Niewyzwolona dotąd agresja znalazła wreszcie ujście, znalazła adresata. Zasapani, w milczeniu, katowali go jakieś pięć minut, ale on już tego nie czuł. Patrzył na wszystko z góry, mimo ciemności widząc i rozpoznając poszczególne bestie, rozwydrzonych, pijanych synów i córki swoich znajomych, sąsiadów. Powoli zaczął rozumieć gwiazdy, ich niezmiennie wieczną obojętność, choć przecież miał tu jeszcze do załatwienia bardzo ważną sprawę.

* * *

Siwa, oszalała z przerażenia Justynka, nie mogła się Władka doczekać. W całkowicie ciemnym pokoju, gdzieś z tyłu głowy, radio cicho podawało nocne wiadomości, ale przecież myślała tylko o nim. Jednak trawiła ją gorączka – czuła, że gałki oczne zaczynają wysychać, całe ciało drży. Serce biło jak oszalałe, oddech stał się płytki, przerywany. I wtedy zrobiło się jakby szaro. Pomyślała, że to już świta, ale szarość zmieniła się w łagodną, pastelową poświatę. Do pokoju wszedł Władek – młodziutki, rozradowany dwudziestolatek w swojej ulubionej, brązowej kurtce. Podeszedł do łóżka i wziął ją za rękę.

– Chodźmy stąd Justynko – powiedział łagodnie i uśmiechnął się nieskazitelnie białym uśmiechem. – Mamy już dość.

Gwiazdy zamigotały życzliwie, a dwie nawet zapłakały ze wzruszenia, roniąc kilka jaskrawych łez.

KONIEC

Autorstwo: Golesz

Zdjęcie: [geralt](#) (CC0)
Źródło: WolneMedia.net